



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



Kruk Klaudyusza.

KRUK.

Zarówno w lasach naszego kraju, jak i w całej Europie środkowej, kruk należy do coraz rzadziej spotykanych ptaków i tylko w niektórych górzystych a zalesionych miejscowościach częściej go jeszcze widzieć można.

Kruk żyje pojedynczo, a właściwie parami; życie gromadne uniemożliwia wielka żarłoczność tego ptaka, skutkiem czego w jednej miejscowości większa ilość kruków w żaden sposób wyżywić by się nie mogła.

Prócz Europy kruki zamieszkują stale również Azyę oraz niektóre okolice Afryki i Ameryki północnej. Kruk należy do większych okazów ptasiego rodu, na ziemiach naszych przebywających: posiada około 64 centymetrów długości, nie licząc ogona, a gdy w locie rozpostrze skrzydła, to szerokość jego dochodzi do 125 cm.

Kształtnej i krzepkiej postaci, kruk przy chodzeniu trzyma się sztywno i prosto. Niewielka jego okrągła głowa, osadzona na dosyć krótkiej szyi, zaopatrzona jest w mocny dziób, zaokrąglony w górnej swej połowie i w miarę zagięty na końcu; obsada dzioba pokryta jest szczecinowatemi piórkami.

Wielkie szpiczaste pióra formują ogon klinowej postaci, a potężne nogi mają po cztery zaopatrzone szponami palce. Młode kruki posiadają opierzenie matowo, popielatowej barwy, które później po dośnięciu zmieniają na zupełnie czarne i mocno lśniące. Czarnego koloru również są nogi i dziób, oczy jedynie nieco jaśniejsze, brunatne.

Myt grecki powiada jednak, że był czas, kiedy kruk miał pióra śnieżnej białości. Było to dawno, bardzo dawno, wówczas jeszcze, kiedy kruk był ptakiem Apollina, ale Apollo rozgniewany zbytnią gadatliwością i plotkarstwem kruka, za karę zmienił mu barwę opierzenia.

Nie wiemy, czy i obecnie kruk plotkarstwem się rudni, faktem jest tylko, że niezmiernie lubi świeące przedmioty i o ile może chętnie je kradnie, następnie w jakim zakątku schować.

Za młodu schwytywany kruk łatwo się oswaja i okazuje wiele pojętności oraz zręczności; można go uczyć różnych sztuk, a również wymawiania wyrazów, jakoteż naśladownictwa rozmaitych dźwięków: ludzkiego śmiechu, szczekania psów, gładania kur i t. p.

Za czasów cesarza Tyberyusza, rzymski szewc Klaudyusz posiadał kruka tak świetnie wytresowanego, że stał się w krótkim czasie ulubieńcem całego miasta.

Codziennie rano przylatywał na forum (plac publiczny, na którym urzędnicy państwowi lub mówcy przemawiali do ludu) siadał na trybunie i pozdrowiał cesarza oraz zebranych mieszkańców, wyrażając im życzenia jaknajlepszego zdrowia i szczęścia.

Zazwyczaj otaczało go grono ciekawych, których kruk zabawiał swoim pociesnym sposobem wymawiania. Po pewnym czasie, gdy słuchacze dosyć się nim nacieszyli, wykonywał parę zabawnych ukłonów i wracał do swego właściciela, który dzięki krukowi zyskał rozgłos i dużą klientelę wśród Rzymian, zachodzących nieraz umyślnie do pracowni Klaudyusza, dla zobaczenia uczynnego kruka.

Zwiększone zarobki Klaudyusza wzbudziły zazdrość wśród innych szewców, aż wreszcie jeden z nich otruił ptaka. Czyn ten wywołał takie wz-

rużenie wśród mieszkańców Rzymu, że zadość czyniąc żądaniu ogółu, sprawcę skazano na śmierć.

Prochy spalonego następnie kruka złożono w bogatej urnie i pochowano na koszt publiczny.

O krukach wogóle powiedzieć można, że miały wielką popularność wśród różnych narodów wszystkich czasów. Cieszył się kruk popularnością za dawnych czasów i wśród Polaków, dowodem czego przekazane nam przez przodków przenośnie językowe i przysłowia.

„Krucze włosy”, „czarny jak kruk” mówimy, chcąc wyrazić dobitnie siłę czarnego koloru. „Kruczą pieśnią” nazywamy przejmujący posępny śpiew, a gdy chcemy powiedzieć, że jeden drugiemu krzywdy nie wyrządzi, używamy przysłowia: „Kruk krukowi oka nie wykole”; w innych znów okolicznościach daremności jakiegos usiłowania lub niemożności wykonania przedsięwzięcia wyrażamy się: „Nie pomoże krukowi mydło”.

W starodawnych naszych baśniach i bajkach często o krukku się wspomina: zakłęci królewicze powstać kruka najczęściej przybierają.

Marzycielka.

*Matusia mi w domu
Nadali robotę,
A mnie coś tak ciągnie
Na ściernie, na złote.
Wyjęli matusia
Lnu z ciemnej komory,
I prząść mi kazali,
Bo dzień jeszcze spory.*

*Oj, przedłabym matko,
Ilebyście chcieli,
Gdybym mgłą siweńką
Miała na kądzieli. —
Oj, przedłabym matko,
Jak tylko potrzeba,
Ale promień słońca
Z przejasnego nieba, —*

*A z tego przęśliwa,
Pociechy tak wiele:
Koszulki by były
Aniołkom w kościele!..
Lecz słońce nie moje,
Nie moje mgły jasne...
Ze lnu mi białego
Koszulki prząść własne...*

*Wszyscy na robocie,
To w polu, to w lesie —
Ja biedna tu siedzę,
A serce mi rwie się!*

*Czy się też tam w ścierni
Snuje babie lato?
Choć wyjdę w podwórko
I siędę przed chatą. —*

*Łajali mię matusi,
Zem ciągle na dworze...
I cóż ja z tem pocznę,
O Boże mój, Boże?...*

*Gdy wietrzyk pociągnie
Od tej tam olszyny,
W okienko zapuka
Gałęzią kaliny.
Gdy pszczołka zbłąkana
Do izby mi wpadnie,
I brzęczy, szeleści
I dzwoni tak ładnie,*

*To tak mnie coś kusi,
Tak ciągnie do złego,
I tak mi się w sercu
Coś dzieje dziwnego,*

*Że muszę wylecieć
Choć pilna robota,
I na świat popatrzeć
Bodajby z za płota!*

Zofia Mrozowicka.

PSIE POLE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY
przez

Włodzimierza Trąmpczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

W

inczowi wyjazd ten wojewody na razie wypadł nie na rękę. Iść z przedstawieniem rzeczy wprost do króla nie chciał; wracać do Kruszwicy także wydało mu się krokiem nie wiodącym do celu, zwierzać się obcym ludziom i szukać dróg bocznych — to nie leżało w charakterze prawego naczelnika straży nadgoplańskiej.

W tych warunkach postanowił czekać i czekał cierpliwie. Ale z kilku dni robić się zaczęły tygodnie i Sieciech nie wracał. Wincz nie dawał poznać po sobie zniecierpliwienia, a Stonoga nawet tak potrafił uśpić, że w końcu nikt na niego nie zwracał uwagi, jak gdyby należał do dworu.

I czekałby Wincz dłużej na powrót wojewody, gdyby nie postaniec z Gostynia, który pewnego dnia przybył do Gniezna z listem do naczelnika straży.

— Byłem w Kruszwicy rzekł — tam powiedziałno mi, że tutaj znajduję waszą miłość.

— Czegoż to życzysz sobie ode mnie? — zapytał Wincz, mierząc przybyłego od stóp do głowy.

— Przyszyła mi tu pan mój, Dzierżek i zapytuje, co czynić ma dalej, oraz zawiadamia, że tylko czekać może ze spełnieniem wyroku do mojego powrotu.

Wincz zamyślił się na tę wieść, długo chodził wzdłuż i wszerz komnaty, nie odpowiadając ani słowa i tylko coś rozważając w głowie, wreszcie przystanął i rzekł:

— Jutro dam ci odpowiedź, a teraz idź, odpocznij i posil się nieco.

Po odejściu sługi Wincz popadł w długą zadumę. Dłużej zwlekać nie mógł, Dzierżek bowiem nie otrzymawszy zaspakajającej odpowiedzi, będzie musiał wykonać to, co mu przykazano i niewinny Natan padnie ofiarą.

W tych myślach pogrążony, wyszedł Wincz na dziedziniec, skąd przeszedł do ogrodów, okalających

zamek, błąkał się długo po różnych zaułkach i ścieżynach. Myśli kłębiły się ustawicznie w głowie i zapewne nieprędko zapadłoby jakieś śmiałe postanowienie, gdyby go z tego zamyślenia nie zbudził ruch, który nagle wszczął się około zamku. Służba biegnąca w tę i ową stronę, a na tarasie czyniono pośpiesznie przygotowania, rozkładano puszyste tkaniny, wynoszono stoły, jednym słowem czyniono niezwykłe.

Wincz przystanął i spoglądał ciekawie; ale nie długo mógł czekać, dostrzeżono go bowiem i niebawem przywołano przed oblicze człowieka, który pod nieobecność wojewody objął sterowanie sprawami dworu króla Władysława Hermana.

Niezmiernie zdumiał się Wincz, spostrzegłszy, że owym zastępcą wojewody jest, ani mniej, ani więcej, jeno Stonóg.

Wincz zadrżał na widok tego niegodziwca, wszelako pohamował się i chciał usunąć się z ogrodów, ażeby nikt nie zauważył jego obecności. Bystremu oku Stonoga nie uszedł jednak nowy człowiek, potajemnie przeto wydał rozkazy, ażeby przytrzymać wymykającego się cichaczem naczelnika straży Kruszwickiej.

Nieprzywykły do gwałcenia swojej woli, Wincz zrazu szarpnął się, ale otoczony pacholkami, będącymi na żołdzie Sieciechowym, wy dobył w końcu miecza i krzyknął tak groźnie, że aż echo dobiegło do ganku, po którym w tej właśnie chwili wkroczył król.

— Co się tam dzieje? — zapytał trwożliwy monarcha.

— Jakaś marna kłótnia — usłużnie odparł Stonóg, który umiał naprawdę lotem ptaka przebiegać ogrody i dziedzińce z jednego do drugiego końca.

— Nie jest to drobnostka — zawyrokował król — człowiek zwykły nie odważyłby się w tem miejscu podnosić głos i występować w podobnie buńczuczny sposób. Przywołać mi tych ludzi.

Rozkaz spełnić należało, nie upłynęło też nawet dużo czasu, gdy prowadzony przez ludzi Sieciechowych, stawiony został przed oblicze Władysława Hermana siwowłosa Wincz. Nie potrzeba było także długiego czasu, ażeby król Władysław Herman nabrał jasnego przekonania, że człowiek, który stanął przed nim, nie popełnił żadnych przewinień.

— Cóż cię więc sprowadziło? — zagadnął król, wesoły już i uspokojony. — Przecież miejsce twoje nie tutaj, lecz na strażnicy kruszwickiej.

— Miłościwy panie — odparł, pokornie się kłaniając — wszedłem tutaj nie po to, ażeby zanosić skargi, lub knowaniami dążyć do zdobycia łaski waszej. Wiem, że tam na wieży kruszwickiej spełniam jedynie swój obowiązek. Nie przybyłem tu również z własnej woli. Skoro jednak los szczęśliwy zdarzył, iż mogę wyjawić wszystko, co na sercu mojem leży, przeto pozwól, miłościwy władco, że poproszę o posłuchanie dobrotliwe.

Stonóg zbladł, dworzanie wtajemniczeni we wszystko spojrzeli po sobie, ale Władysław Herman, czując się właśnie w tym dniu rzeświejszym, tem więcej, że królowa wyjechała do pobliskich Szczytnik, popatrzył na łowy na niedźwiedzia, skinął i Wincz przybliżył się, a dworzanie stanęły w oddaleniu.

Nastąpiła chwila ważna. Wincz przemawiał a przemawiał długo. Król w pierwszej chwili zbladł, targnął się, powstał nawet i ręką dał znak, ażeby przerwano niemiłą przemowę, w miarę jednak wymównych i jędrnych dowodzeń wiernego sługi, począł z zajęciem wielkiem śledzić tok opowiadania.

Stało się coś niezwykłego. Ten uznany za nie dołęgę, zgrzybiały, kruchy, wątły starzec, jak gdyby

odmłodził, gdy postyszał o Zbyszku, a spieczonemi wargami powtarzał tylko:

— Zbyszko, Zbyszko, mój syn, mój pierworodny. Mów, mów dalej, chcę wiedzieć wszystko, chcę wiedzieć prawdę

I Wincz mówił, nie zatajając niczego zgoła, mówił o Dzierzku i o Natanie, mówił o Radoniu i Maćku, napomknął o Kruszynce i Dobku.

Król słuchał uważnie, a chociaż wszystkimi siłami starano się zapobiedz grożącej z tego powodu klęsce, nikt nie śmiał przerwać przemowy rycerza, o którym wiadano, że zasługi jego dla kraju pozwalają na ufność wobec monarchy.

Wincz skończył wreszcie i naokoło grobowa zaległa cisza.

Ciszę tę pozwolił sobie przerwać dozorca wieży kruszwickiej zapytaniem krótkim ale godnym człowieka, który nie nawykł giąć się przed nikim:

— Czy wolno mi teraz odejść w spokoju, miłościwy panie?

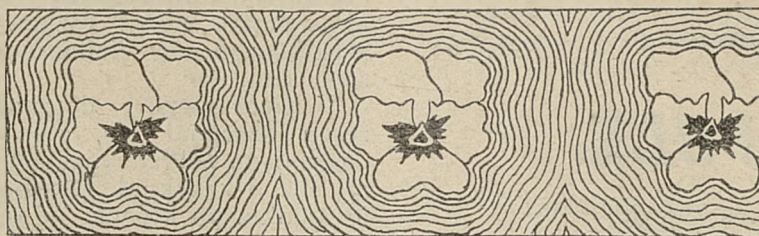
Zapytanie to sprawiło, że król ocknął się z zadumy, w którą popadł.

I stała się rzecz dziwna, rzecz, która przyparowała dworzan i powierników monarszych w zdumienie.

Władysław Herman wstał nagle z tronu, zwiędła wargi nabiegły krwią.

Takiego rezultatu krótkiej rozmowy, jaką miał Wincz z monarchą, nie mógł się spodziewać nikt, ani królowa, ani Sieciech, ani nawet Stonóg, który drżał na całym cieple, widząc, jak w miarę słuchania słów naczelnika straży kruszwickiej, zmieniała się cała postać wątlęgo, schorowanego króla. Ten nikły człowiek wyolbrzymiał nagle i przypominał teraz majestatem poprzedników swoich na tronie. Nawet głos Władysława Hermana brzmiał silnie, gdy pośpiesznie wydawał rozkazy, ażeby postawcy rozbiegli się w różne strony, a więc do Kruszwicy i do Gostynia. Rozkazy te, z którymi w lot popędzili dworzanie, brzmiały krótko: wszystkich więźniów wypuścić i stawić przed oblicze monarsze, Dzierzek zaś ma powrócić na dwór, nie uczyniwszy najmniejszej krzywdy spokojnemu i niewinnemu Natanowi.

Wincz, który z początku żałował tego wtargnięcia do ogrodów królewskich, odetchnął teraz pełną piersią, jak oddycha człowiek po spełnieniu dobrego uczynku. Uczucie trwogi było mu nieznanne, pomimo to jednak Wincz był zadowolony, że może odjechać do domu, do którego tęsknił, siedząc beczynnie przy boku Władysława Hermana. Jeszcze też tego samego wieczoru wyruszył z powrotem.



Z konkursu rysunkowego „Wieczorów”.

Winieta Azurei.

* * *

(d. c. n.)

B. Dyakowski.

NASZE ROŚLINY UPRAWNE.

(Dalszy ciąg).

Do takich zbóż drugorzędnych u nas przynajmniej, wypada zaliczyć kukurydzę. Nie dla tego zresztą, żeby to wogóle było zboże podrzędnego znaczenia, przeciwnie bowiem należy ono wraz z pszenicą i ryżem do trzech najważniejszych zbóż na kuli ziemskiej, do trzech głównych żywicieli ludzi. Wymaga jednak żyznego gruntu i ciepłego klimatu; okres jej wegetacyjny w klimacie umiarkowanym trwa 5 a nawet 6 miesięcy, dojrzewa zatem w tych warunkach z trudnością. Uprawiają też ją głównie w krajach gorących Ameryki, Azji i Afryki, w Europie przeważnie południowej. Odznacza się zaś kukurydza ogromnym wydatkiem: z jednego wysianego korca można zebrać 70, a nawet 100 korcy; w krajach zaś gorących 300—400, a przy wyjątkowo świetnej glebie i pomyślnych warunkach do 800. Urodzaj iście bajeczny!

U nas kukurydza dojrzewa jedynie na Podolu; tam też znajdują się całe plantacje tej rośliny. W innych dzielnicach się ją wyłącznie na zieloną paszę, to jest dla liści, którymi karmią inwentarz

Kukurydza jest najwyższem zbożem. Już u nas przerasta ona wzrost człowieka, w gorących zaś krajach dosięga 5, a nawet 6 metrów wysokości, wierz-



Kukurydza.



Gryka zwyczajna (A). kwiat (B), owoc całkowity (D).



O zmierzchu jesiennym. — Po wodę.

chołek jej może się wznosić zatem po nad dach domu parterowego. Łodyga jest gruba (na 4 centymetry, czyli przeszło półtora cala) i w przeciwieństwie do innych zbóż nie pusta, lecz wypełniona całkiem gąbczastym, słodkawym rdzeniem. Liście dość szerokie. Kwiaty pręcikowe osobno od słupkowych: pierwsze tworzą rozpięchłą luźną wiechę na wierzchołku łodygi; drugie zbity gęsty kłos, zwany kolbą, dla tego, iż osadę jego stanowi nadzwyczaj gruba łodyga. Kolba jest otulona białawymi pochwiastymi liśćmi, z pomiędzy których wystaje pęk jasnych włosów, brunatniejących następnie w miarę dojrzewania. Są to szyjki kwiatów słupkowych. Ziarna są duże, największe ze zbożowych, niekiedy dochodzące prawie wielkości grochu; gładkie, okrągławe, barwy przeważnie żółtej lub żółto czerwonej, rzadziej z odcieniem niebieskawym lub różowawym. Ziarna osadzone są na grubej łodydze (kaczan).

Istnieje bez mała do stu odmian kukurydzy. Ojczyzną tej rośliny jest Ameryka. Do Europy dostała się ona dopiero w wieku XVI, a mianowicie do Włoch (w r. 1520). Stamtąd rozeszła się po innych południowych jej częściach i uprawa jej rozpowszechniła się tam tak dalece, że stała się w niektórych okolicach głównym pokarmem, powszednim chlebem ludności. We Włoszech przyrządzają z niej z dodatkiem soli i słoniny narodową potrawę, zwaną polentą; na Bukowinie, w Bessarabii i niektórych częściach Podola — podobną do niej mamałygę, tak powszedni pokarm ludności, jak u nas ziemniaki albo kasza jęczmienna lub jaglana

Ziarna kukurydzy należą do bardzo pożywnych, mniej jednak mają od innych zbóż, bo 10% związków azotowych, ale zato są nadzwyczaj tuczące dla dużej zawartości tłuszczu (5 — 10%); wadę ich stanowi to, iż są zbyt trudno strawne. Nadają się doskonale do karmienia drobiu, a także wogóle do opasania zwierząt domowych.

U nas na Podolu jadają kukurydżę gotowaną z dodatkiem masła.

Z mąki kukurydzianej pieką chleb, który jest zwykle dość zbity, z powodu, iż mąka ta mało rośnie i odznacza się także tem, iż prędko się zsyca. Jest on ciężko strawny. Dla uczynienia go smaczniejszym, strawniejszym i lepiej przechowującym się, robią go z domieszką mąki pszennej. Z ziarna kukurydzy można nareszcie pędzić spirytus tak samo, jak i z innych zbóż.

Jak widzimy jest to roślina o wszechstronnych użytkach, ale ze względu na wybredność jej pod względem klimatu u nas ma tylko podrzędne znaczenie.

7. Gryka czyli tataraka.

Gdy mowa o kaszach i mąkach, trudno jest nie wspomnieć tataraki, gryki czyli hreczki, pomimo, iż nie należy ona do zbóż, lecz do rodziny rdestowatych, do której zalicza się wiele z naszych roślin dzikich, a mianowicie różne gatunki rdestu i szczawiu. Chociaż jednak botanicznie gryka nie ma nic wspólnego ze zbożami, zato pod względem znaczenia dla ludzi zbliża się do nich najzupełniej i dla tego chcemy pomówić o niej przy zbożach.

Nie trzeba być botanikiem, aby poznać odrazu, iż nie jest ona blisko spokrewniona ze zbożem: zarówno liście, jak i kwiaty różnią się u niej wybitnie. Liście nie są wcale wąskie, jak u zbóż i traw, lecz szerokie, trójkątne, takie, jakie spotykamy u wielu ziół i chwastów. Kwiaty mają wygląd prawdziwych kwiatów. Nie posiadają one wprawdzie osobnego kielicha i korony, ale tylko tak zwany pojedynczy okwiat, jednak to samo mają najpiękniejsze kwia-

ty wielu innych roślin, że wspomniemy tu tylko liłę i tulipana. Okwiat gryki składa się z 5 działek, i ma barwę czerwonawo, lub zielonkawo-białą, albo też często białą. We środku znajduje się 8 pręcików i jeden słupek o 3 szyjkach. Owoc ma kształt trójkańciastego orzeszka, w którego twardej powłoce zamknięte jest jądro pożywne wraz z zarodkiem.

U nas uprawia się dwa gatunki gryki: grykę zwyczajną o kwiatach większych, białych lub czerwono-białych, o ziarnach z kantami nie ząbkowanymi, i grykę tatarkę, czyli wprost tatarkę o kwiatach mniejszych, zielonkawo-białych i kantach ziaren falisto ząbkowanych. Oba te gatunki mieszają zresztą ze sobą bardzo często i nazywają w jednych okolicach gryką, a w innych tatarką. Co do innych różnic, to tataraka jest wytrzymałą na zimno, daje obfity plon, ale zato mąka z jej ziarn jest mniej delikatna, a kasza ma smak nieco gorzkawy.

Każdy z tych obu gatunków hodują w licznych odmianach, jak wogóle wszystkie prawie rośliny uprawne.

(d. n.)

NA ŁASCE OCEANU.

(Dalszy ciąg)

Cd wschodniej strony niebo i wody zaczęły powoli przybierać srebrnawy odcień świtu, gwiazdy bładły i gasły jedna po drugiej — nareszcie na widnokręgu płomienna kula słońca podniosła się, jak gdyby z dna wody, zalewając jasno-błękitną już teraz toń morza całym potokiem purpury.

Zesłańcy opuścili na chwilę wiosła i obejrżeli się dokoła siebie — woda i niebo! Najbyszyjsze oko nic innego dostrzedz nie mogło: pierś tych czterech ludzi, rzuconych w wątlej łódce na bezmierną, wodną pustynię, podniosła się głębokim oddechem ulgi; spojrzeli sobie w oczy i nie zdolni wymówić słowa, z radosnym łkaniem rzucili się sobie w objęcia: byli wolni!

— Pawle, oddaj mi wiosło, zanadto już jesteś znużony.

Młodziutki chłopak, do którego odnosiły się słowa porucznika, miał rzeczywiście twarz bladą jak płótno, z małymi tylko, ale ciemnymi wypiekami na policzkach, wiosłując, otwierał usta spalone gorączką, jakby z trudnością chwycił powietrze.

— Połóż się na dnie łódki i przospij parę godzin, nie jesteś widać stworzony na marynarza, mój chłopcze — dodał porucznik żartobliwie, ale wyjmując wiosło z ręki Pawła przytrzymał przez chwilę jego suchą, gorącą dłoń i spojrzał badawczo w zangłone oczy chłopaka. — Połóż się — powtórzył raz jeszcze zmienionym trochę głosem.

Stojący najbliżej towarzysza Pawła zauważył widać to długie spojrzenie porucznika i lekką zmianę głosu, w jego oczach także zaświecił niepokój:

— Żółta febra? — zapytał szeptem, wskazując oczami leżącego.

Porucznik położył palec na ustach.

Płynęli dalej w milczeniu, ale radość, z jaką przed godziną witali wschodzące słońce, uleciała od ich łódki. Choć żagiel ich biały złociło słońce, a z pracujących wiosł zdmawały się spływać nie strugi wody, ale roztopione turkusy i szmaragdy, sposepniał im świat cały.

Żółta febra — nie dziwnego, że zaród tej strasznej choroby unieśli z sobą z osady karnej, bo ona tam sobie wybrała najulubieńsze siedlisko: codziennie przecież przez ubiegłe miesiące patrzyli na powolne konanie tylu towarzyszy niedoli, którzy przesiedleni z Europy, przywyknąć nie mogli do zabójczego, wilgotnego, a gorącego klimatu Cayenny — to nawet dziw, że oni dotąd potrafili stawić opór zarazie, że dziś dopiero wybiera sobie wśród nich ofiarę.

Pawełek jęknął — porucznik pochylił się nad nim z czułą troskliwością.

— Chory jesteś? — szepnął ze współczuciem.

— Chory, ale na swobodzie — odparł ledwo do słyszalnie młody żołnierz, próbując się uśmiechnąć — nie bójcie się o mnie, poruczniku, Pan Bóg dobry! da mi jeszcze Francję zobaczyć.

Cały dzień zeszedł naszym żeglarzom na kolejnym zmienianiu się u steru i u wiosł i na zwilżaniu co chwila spalonych ust Pawełka, choć kilku kroplami wody, której musieli bardzo oszczędzać, bo wzięli jej zapas niewielki, a kresu nieopatrzonej żeglugi nie można było z góry przewidzieć.

W owej ciężkiej trosce o najmłodszego, ulubionego towarzysza, pozostali za ledwie pomyśleli o sobie o tyle, aby w południe siły pokrzepić kawałkiem suchara lub wędzonego mięsa, którego trochę mieli z sobą: po prostu żal im było czasu, żal trudu na co innego, jak na pośpiech w robieniu wiosłami! Aby jeszcze tę falę zwyciężyć! aby znowu tę jedną — każda zbliżała ich do upragnionej Brazylii, a tu jak na złość wiatru nie ma wcale i jedyny żagiel wątej łupiny orzecha spoczywa całkiem bezużytecznie...

Troska o stan Pawła była tak wielka, że zdawało się biednym zbiegom, iż gorzej nic już zaniepokoić ich nie może, ale wnet do tej jednej trwogi przybyła druga, jeszcze groźniejsza.

Jakoś w połowie nocy zauważyli nagle, że gwiazdy gasnąc jedna po drugiej zaczynają, zupełnie jakby je kolejno zdejmowała lub zasuwawa czemś, jakaś niewidzialna ręka. Dziwnie nieprzenikniona ciemność otoczyła ich prawie w jednej chwili dokoła; sądzili, że to czarne chmury pokryły chyba niebo, że cisza panująca na oceanie zapowiada im straszną burzę — aż po upływie kilku godzin przykrego oczekiwania, dzień się powoli zaczął robić — ale dzień bez rumianego świtu, bez błękitu nieba i srebrzystych połysków fali: po prostu otaczające ich ciemności zaczęły powoli szarzeć, a wreszcie rozwidniać się dziwnym jakimś, stłumionem światłem, o tyle tylko, aby pokazać biednym żeglarzom, że zawisło nad nimi najgroźniejsze dla statków niebezpieczeństwo — mgła morską.

Żółto-szary nieprzenikniony obłok kłębamii swymi owinał ich łódkę dokoła, tak ściśle, że na długość wiosł nie widzą, co mają przed sobą; nie wiedzieć skąd zerwał się nagle jednostajny, cichy jakiś, ale dość silny wiatr, który wydyma żagiel i niesie ich przez żółty tuman, jak gdyby w otchłań jakąś, pełną mgły i wody — a może na spotkanie jakiegoś niewidzialnego okrętu; który ich w ton pogrąży, nie wiedząc nawet, na co najechał po drodze... a może na ostrą skałę, o którą wążła łódka rozbić się może jak puch, zanim żeglarze dostrzegą nawet grożące im niebezpieczeństwo.

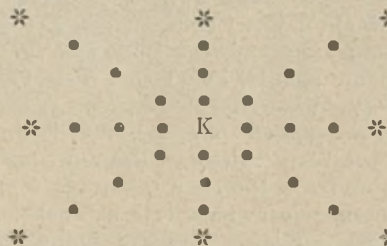
Rzadkie są, ale pełne grozy dni mgły takiej na morzu. Skoro ten szarawy obłok zsunie się z góry, czy też podniesie z wody, lub nadpłyynie gdzieś z boku, ażeby wypełnić sobą całą przestrzeń pomiędzy powierzchnią morza, a sklepieniem niebios, na wybrzeżach morskich budzi się trwożliwy niepokój. Ze stacyi ratunkowych, rozsianych tu i owdzie w miej-

scach bardziej do wylądowania niebezpiecznych, rozlega się co parę minut, jak w mieście w czasie pożaru, donośny głos alarmowego dzwonu.

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA TARCZOWA.

pomysłu Lili z nad Warty.



Zamiast kropek i gwiazdek podstawić należy litery w taki sposób, aby otrzymać 8 wyrazów 5-cio literowych, zaczynających się od głoski K; — końcowe litery tych wyrazów, na miejscach gwiazdek stojące, winny dać nazwisko poety polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1) Pieszczota inaczej. 2) Miasteczko w gub. Płockiej, w pow. Lipnowskim. 3) Miasto powiatowe w gub. Warszawskiej. 4) Miasto w gub. Radomskiej, pow. Opoczyńskim. 5) Dawne narzędzie muzyczne. 6) Schronienie na kurczętą. 7) Dawna twierdza kresowa. 8) Filantrop, dobroczyńca zakładu Osad Rolnych.

SZARADA.

ułożyła E. L.

Pierwsze to nuta śpiewna, drugie wspaniałe nazwisko, Wsławione w piśmiennictwie lat już sześćset blisko. A trzecie wspaniałe jest płynem, co w śmiertelnych bycie, Podnieca, utrzymuje, lub przecina życie. A wszystko wraz, wzrok ludzki wabi zawsze mile, Choć jaśnieje wysoko i gaśnie za chwilę.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-go

Zagadki rebusowej: Zero.

Szarady II. U — miń — ski.

Odpowiedzi Redakcyi.

Dolly Wencwi. Do reprodukcji w piśmie potrzebna jest nie klisza, lecz odbitka fotograficzna na papierze. Z nadstanej więc przez ciebie kliszy skorzystać nie możemy. Zachowujemy ją do odbioru. Redakcyja otwarta codziennie od 10-jej rano do 6-jej po południu.

F. Dzikiewiczowi. Numer żądany wystaliśmy. Należy się nam 10 kopiejek. Książki wymienionej w liście niema zupełnie w handlu księgarskim w Warszawie i dlatego nie mogliśmy dowiedzieć się ceny.

Odpowiedzi działu zadankowego.

Na pierwszym miejscu rozumie się sprawa łamigłówek do nagrody, ogłoszonych w N-r. 36-ym „Wieczorów”.

Rozwiązań mnóstwo, ale wielka ilość mylnych: szczególnie szarady z numeru głównego i figiel z dodatku nie miały szczęścia. Nikt naprzykład nie wpadł na pomysł, że przy obiedzie najpotrzebniejsze są usta, bo bez apetytu obiad też zjeść można, ale bez ust niema sposobu. Niemniej trudne okazało się zagadki, gdyż trafne rozwiązanie obydwoch nadesłali tylko Gosposia, Rozetka i Lilipucik oraz Dzika Litwinka a

Nagroda za rozwiązanie łamigłówek z numeru przyznana została **Gosposi z Petersburga**.

Z młodszych czytelników nikt nagrody nie otrzymał, ponieważ nikt nie przysłał trafnego rozwiązania obydwóch zadań z dodatku. Pozostała książka i karty przeznaczają się na nagrody za rozwiązanie innych zadań, o czem będzie wkrótce ogłoszone.

Z rozwiązań „Zadania wyrazowego” z dodatku wyróżnia się nadesłane przez Wolę Buczyńską z Ryków, która podała nietylko przeszło pół kopy wyrazów wprost i wspak jednako czytanych, ale nawet i dwa zdania: 1) u kowala w oku, 2) u kobyły boku. Inna znów czytelniczka, Powój ze Lwowa przypomina znane zdanie: kobyła ma mały bok, również dające się czytać w obie strony.

Prócz wspomnianych powyżej, rozwiązania niektórych zadań z Nr. 36 przysłali również Drahun, Dolly Wen, Stasia Sokół, Czarna Perełka z Piotrkowa, Muszka z nad Rosi, Dalaj Lama, Minia Antoniewiczówna z Kalisza, Tuśka z Dębowej Góry, Mazur z Kalisza, Wiarus i jeszcze jedno trafne rozwiązanie bez podpisu.

Jadwiśce. Łamigłówka tym razem udała się wyśmienicie; niebawem będzie drukowana.

Trafne rozwiązania zadań z ostatnich numerów nadesłali: Antoni Krajewski: Wicek z nad Przemszy, Mazowiak, Czesia z Pińska oraz Janek Rz.

Na wyróżnienie zasługuje wierszowane rozwiązanie Czesi z Pińska, która rozwiązanie szarady „Emilia Lejowa” z Nr. 38-go takim zgrabnym opatrzyła wierszykiem:

Kto „Wieczory” pilnie czyta,
Ten odgadnie dwa te słowa,
Że w szaradzie jest ukryta
Emilia Lejowa.

Za mozołów długie lata
Niech jej młodzież wieniec spleta,
A ja dzisiaj z serca złożę
Szczere — zapłać Boże!

Wystawa prac dzieci we Frascati.

Idźcie i zobaczcie! kiedy te słowa was dojdą; w kilku salach pałacu, mieszczącego się w głębi ogromnego i wspaniałego ogrodu Frascati przy ulicy Wiejskiej, trwać będzie wystawa, — wystawa, którą zdaniem mojem każdy z czytelników „Wieczorów” zwiedzi nietylko z najwyższym zajęciem, ale i sercem wruszonem, z wolą mocniejszą i ożywioną.

Wystawę tę urządziło Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności.

Nie znajdziecie tam dzieł sztuk lub wielkiego przemysłu, ani nadzwyczajnych osobliwości! Chociaż

nie! zobaczycie tam osobliwość, którą w Warszawie rzadko kto oglądał, zobaczycie własnymi oczami owoc pewnej części działalności Towarzystwa Dobroczynności, — tę, która roztacza opiekę nad ubogimi dziećmi.

Bo trzeba wam wiedzieć, że Towarzystwo Dobroczynności, założone jeszcze w 1818 roku powiększając się z biegiem czasu i rozwoju miasta, posiada teraz 130 rozmaitych zakładów, które utrzymuje z trudem z dochodów od zapisów i składek członków.

Część tych zakładów stanowią: ochronki, przytułki sierot, sale zajęć i szwalnie. To państwo dzieci — dzieci nieszczęśliwych, których rodzice odumarli albo poprostu nie są w stanie dać im nieraz nawet kąta, łyżki strawy, a cóż dopiero mówić o opiece i wychowaniu. Towarzystwo więc daje im opiekę i pożywienie a nadto naukę rzemiosł i robót ręcznych. Jednocześnie wskutek wzajemnego obcowania pod troskliwym okiem opiekunów i opiekunek rozwija się w nich dusza, otrzymując one wychowanie.

Nie są to już puszczone samopas, dzikie zwierzątka, ale dzieci, wiedzące o Bogu, umiejące się modlić, pracować, pojmujące już, że trzeba żyć w społeczności ludzkiej użytecznie i uczciwie.

Dzieci takich jest kilka tysięcy przeszło, ale drugie tyle co najmniej, nie może korzystać z opiekuńczych skrzydeł Towarzystwa, bo skrzydeł tych, z powodu braku środków — nie starczy.

Otóż obecnie we Frascati wystawiono wszelkiego rodzaju roboty, wykonywane przez dzieci Tow. Dobr., od najprostszych, które maleństwa z ochron i przytułków kłęją drobnymi rączynami, do wyrobów umiętnych starszych chłopców z sal zajęć i dziewcząt ze szwalni.

Oprócz tego będzie można zobaczyć i same dzieci, a w pewnych godzinach, między 2—6-ą ich pracę w zakładach. Na dany znak przy każdym warsztacie i stoliku zaczyna się robota, każdy spełnia swoje zajęcia — i przez półgodziny widzi się ich życie przy pracy.

Po tem półgodzinnem zajęciu odbędą się pochody dzieci i zbiorowe ćwiczenia gimnastyczne, które one wybornie wykonywują.

Nie potrzebuję dodawać, że w salach gra orkiestra i są bufety, a o zmierzchu płoną światła elektryczne; wejście dla dzieci po kop. 10.

Urządzeniem wystawy zajęli się wice-prezes ks. Zdzisław Lubomirski i członek zarządu ks. rektor Gralewski przy pomocy wszystkich opiekunów i opiekunek oddzielnych zakładów.

Idźcie więc i zobaczcie! a spieszcie się, bo wystawa do niedzieli tylko włącznie trwać będzie.

W. R.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 15 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Kruk (z ryc.) — Marzycielka, wiersz przez Zofię Mrozowicką. — Psie pole, powieść Włodzimierza Trampeczyńskiego. — Nasze rośliny uprawne, przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — O zmierzchu jesiennym. Po wodę (ryc.) — Na łasce oceanu. — Łamigłówki i rozwiązania. — Odpowiedzi redakcyi. — Wystawa prac dzieci we Frascati. — **Dodatek:** W menażeryi, przez N. K. (z ryc.) — Moje opowiadania, przez Zofię Bukowiecką. — Leniuszek, wiersz przez E. Lejową. — Dary, przełożyła z angielskiego M. G. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Sewerka, powieść przez W. Marrené-Morzowską.

W MENAŻERYI.

Mała Nelly, córeczka dozorczy zwierząt, wbiegła jak strzała do budy zwanej menażeryą.

Tu minęła szybko klatki, w których błyszcząły oczy hyeny, wilków, tygrysa i pantery, nie spojrzawszy na małe skaczące po trapezach, odpędziła papugę, co nadleciała, skubiąc ją dziobem i przystanąła dopiero, gdzie za grubą kratą leżał w kącie zwierzę płowy, jak kawa ze śmietanką w szklance — była to lwica.

Jednym spojrzeniem przekonała się Nelly, że furtka, oddzielająca dwa małe lwiątko od matki, zamknięta.

— Hop!

Zręcznym skokiem stanęła pośrodku klatki, i dalej swawolić z małemi kociakami.

Jedno szarpie ją z tyłu za warkocz, a przytem pieszczotliwie wsuwa się na kolana, drugie skacze na ramię i łapką miękką, jak poduszczyca, muska z lekka po twarzy.

Gdy się rozbrykały, chwytają zębami własny ogonek.

Za piłką podrzuconą biegną, jak kotek za kłębkami bawełny.

Nelly byłaby do wieczora bawiła się z niemi, ale nagle doleciał ją szmer zmieszanych głosów..

Może to Fryc szedł zapalać lampki?

Skoczyła między ławki.

Gwar rozmów rósł tymczasem za drzwiami menażeryi.

Nikt wierzyć nie chciał, że małe dziecko odegra rolę pogromicielki zwierząt, lecz wszyscy czytali to na afiszu.

— Pan Osario drwi sobie z publiczności — powtarzali półgłosem chłopcy, nieświadomi, że w klatkach, prócz wielkich lwów, o bujnej, królewskiej grzywie, bywają i lwiątko, łagodne, jak nasze koty.

— Pójdziemy na przedstawienie?

— Pójdziemy, pójdziemy wszyscy! — wołały liczne głosy w tłumie, poczem każdy zwracał się po bilet do kasy.

Publiczność przepełniła wieczorem ławki i krzesła ustawione przed klatkami zwierząt.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na kratę, za którą cicho jak kot, przechadzał się król zwierząt.

Dumny władca puszczy stłumił ryk i znosił w milczeniu niewolę, jak przystało na pokonanego monarchę.

— Ja nie chcę widzieć tam Nelly! — szeptał mały Adaś, przytulony do mamy. — Wracajmy lepiej do domu.

— Tak, tak, wracajmy do domu — powtórzyło za nim kilka innych głosików.

— Ten lew rozszarpie ją na kawałki!



Rozszarpie? Nie! Oto stoi przed wami w białej sukience i tuli do siebie dwa lwiątko, a kto ją widział, niech opowie innym, że można nawet dzikie zwierzęta oswoić i ująć.

N. K.

Zofia Bukowiecka.

MOJE OPOWIADANIA.

(Dalszy ciąg).

Odbierzmy ziemię świętą, idźmy walczyć z poganami — wołali pobożni rycerze. Wołali tak Anglicy, wołali Niemcy i Francuzi, więc też zebrały się wojska i szły do Azji na śmierć, na niewolę. Zwano te wojska Krzyżowcami, bo przypinali sobie krzyże przy pancerzach na znak, że idą bić się za Chrystusa. Szli nie dla rabunku, nie dla swego po-

żytku wiedli wojnę. Narażali życie za postępek świata, walczyli dla ideału, takich zawsze cenić należy.

Bolesława Krzywoustego słusznie rycerzem krzyżów nazywać mamy prawo. On także przez pobożność chciał pogan do wiary świętej pozyskać, a miał ich blisko nad brzegami morza Bałtyckiego. Już po te brzegi wyciągali ręce Niemcy, ale Bolesław nie dał im do nich dostępu, a wojsko zrozumiało, czego chce ich księżę i darło się za nim do ujścia Odry.

— Morze! morze! — wołali rycerze szczęśliwi, że dotarli tam, gdzie dał życie święty Wojciech, gdzie bił graniczne słupy Bolesław Chrobry. Każdemu drogie jego dziedzictwo i nie rad, kiedy mu z niego kęs urwą, dlatego to z dawien dawna było w zwyczaju kopce graniczne sypać, a przy sypaniu bito na kopcu różgami młodych chłopców, aby dobrze pamiętali, dokąd łan ich sięga i umieli świadczyć o tem w potrzebie.

Nie dziw więc, że radowali się żołnierze Bolesławowi na widok morza, które było granicą naszą za Chrobrego, i szkoda, że Krzywousty nie kazał wedle starego obrządku obić na granicy rycerskich wyrostków, byliby potem lepiej pamiętali, że dotąd sięga ramię Polan, a oni zbyt prędko zapomnieli... ale tem potem, a teraz podziwiamy męstwo Bolesława. Zdobył on miasta Pomorskie: Białogród, Kołobrzeg, Szczecin i zdobyte tak do siebie przywiązał, że potrafił cały kraj pogański nawrócić na chrześcijaństwo, w czem mu dopomógł biskup Bamberski, Otto, dla którego król nowe biskupstwo w Julinie założył.

Było to już siódmre biskupstwo nasze, a chociaż między kapłanami, którzy z zachodu wiarę chrześcijańską niesli, najwięcej znajdowało się cudzoziemców, i Otto Bamberski należał do nich także, to jednak za Bolesława Krzywoustego stan duchowny można już nazwać narodowym, bo młodzi Polanie, zarówno i kmiecie, jak rycerze, wychowywali się na kapłanów w szkołach własnych, zakładanych przy kościołach i klasztorach. Zdarzało się też, że zasmakowawszy w nauce, jechali nasi księża zagranicę po wyższe wykształcenie i wróciwszy potem do kraju, dawali swoim to, czego się od obcych nauczyli. Wzrosty kapłan własnym przemawiający językiem, leko łatwiej trafiał do serca osadników, niż biskup niemiecki, a zresztą od Boga mając mowę, słuszną w śmy w takiej, jaką nam dał, cześć Mu składali.

Cieszyło papieża nawracanie pogan, to też przykazał posłów swoich, których zowią nuncyuszami, aby wzywali biskupów polskich na narady, czyli na synody. Odbywały się one w różnych miastach, biskupi przyjeżdżali z wielką paradą, ale nie w karocach, a dziś, o wcale nie! jechali na koniach, bo w owych czasach nawet królowe podróżowały konno, a przy nich biskupi bywali też często rycerzami i umieli doć miecza przeciw rabusiom, o których nie było śladu. Krzywousty chętnie zezwalał na synody, wiedział, że posłowie papiescy zachęcają kapłanów do czystoty, do żarliwości w nauczaniu, do stawiania się wiały. Nuncyusze przybywali z Włoch, a we

Włoszech znano oddawna sztukę budownictwa i wznoszono piękne kościoły z marmuru, kiedy my mieliśmy tylko z drzewa je kleić. Oni więc wzywali do postępu, oświecali naród, pokazywali wzory świątyń włoskich, a że mieliśmy serca skore ku dobremu, więc zabudował się kraj przybytkami Bożymi, rosło bogactwo wspólne; mówią, że jeden tylko Piotr Włast, rycerz i dostojnik, siedmdziesiąt kościołów wystawił swoim kosztem.

(d. c. n.)

Leniuszek.

W samotnym kątku siedzi dziewczynka.
Chmurka jej liczko przyćmiewa ładne,
Skądże ten smutek? ta kwaśna minka?

Może ja zgadnę!

Bo w zrozumiałej aż nadto mowie,
Prawią rzucone druty z kłębuszkiem,
Że się ta mała panienska zowie?..

— Aha! leniuszkiem.

Od takiej nazwy strzeż-że nas Boże!
W samem jej brzmieniu śmieszności tyle.
O! nie, dziewczeczko! to być nie może.

Wszak ja się mylę?

Wszakże to mama, kochane dziecko,
Dziś ci kazała robić pończoszkę,
A ty jej zmartwić nie zechcesz przecie?

— Nie! ani troszkę.

Więc podnieś z okna rzucone druty,
Miłość ku mamie mając na względzie;
A praca dla cię zamiast pokuty,

Rozkoszą będzie.

I z taką myślą zyskasz swobodę,
Co spędzi z czoła tę brzydką chmurkę,
Że ucałuje mama w nagrodę,

Posłuszną córkę.

Takie to cuda pilność twa sprawi,
Chwilowe trudy płacąc officie,

I do prac innych chęć pozostawi,
Na całe życie.

E. Lejowa.

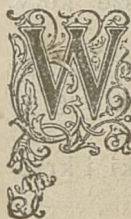
DARBY.

przełożyła z angielskiego

M. G.

VII.

Ostatnie życzenie.



y, co czytacie tytuł tego rozdziału, domyślicie się, że opisuje on dzień, w którym Cyryl, Antea, Robert i Kizia mieli po raz ostatni sposobność otrzymać spełnienie swego życzenia.

Ale dzieci o tem nie wiedziały. Były rano w różowym humorze, a mimo tego, że poprzednich dni z wielką trudnością przychodziło im postanowić, czego miały żądać od piaskoludka, tego dnia (ostatniego) w głowach ich było pełno rozsądnych i pożytecznych pomysłów.

— To tak zawsze się zdarza — zrobiła uwagę Kizia, kiedy już było po wszystkim.

Wstali bardzo rano i jeszcze przed śniadaniem zaczęli robić plany na dzisiejszy dzień.

Największe powodzenie miał projekt zażądania stu funtów w najnowszej monecie, ale i inne projekty były też nie do odrzucenia. Każdy pragnął mieć dla siebie kucyka. Byłoby to wielką dogodnością. Można by co rano poprosić piaskoludka o kucyka dla każdego z dzieci, jeździć cały dzień, a o zachodzie słońca kucyk znika i znowu nazajutrz można prosić o niego: byłaby to wielka oszczędność na stajni i paszy. Ale podczas śniadania zdarzyły się dwie rzeczy. Pierwszą był list od mamusi. Babunia była już zdrowsza i mama zamierzała wrócić do domu tego samego popołudnia. Po przeczytaniu listu rozległy się okrzyki radości. I naturalnie, wiadomość ta rozproszyła wszystkie przed-śniadaniowe projekta, bo każdy zrozumiał, że dzisiejsze życzenie powinno mieć na celu głównie przyjemność mamusi, a nie dzieci.

— Chciałbym wiedzieć, czego by sobie mama życzyła? — zastanawiał się Cyryl.

— Tego, żebyśmy wszyscy byli grzeczni — odpowiedziała bez wahania Kizia.

— Tak, ale dla nas byłoby to trochę nudne — zauważył Cyryl. Prócz tego zdaje mi się, że to można zrobić i bez samjada. Nie! potrzeba nam coś wspaniałego, coś — czego byśmy nigdy nie mogli mieć bez jego pomocy.

— Ostrożnie! — ostrzegła Antea. — Nie zapomnij o tem, co było wczoraj. Pamiętaj, że nasze życzenie może się spełnić tam, gdzie jesteśmy, jak tylko powiemy: „pragnę.” Strzeżmy się nowej niedorzeczności...

— Masz słuszość — odpowiedział Cyryl. — Ale obejdzcie się bez zrzędzenia!...

W tej chwili weszła Marta z gorącą wodą w imbryku i bardzo uroczystą miną.

— Dziękować Bogu, że jeszcze możemy dziś jeść śniadanie — powiedziała ponuro.

— Albo co się stało? — zawołały dzieci.

— Nic wielkiego — odrzekła Marta. — Tylko, dziś nikt nie może być pewny, czy go nie zamordują w łóżku...

— Jakto? — pytała Kizia, którą nieprzyjemny dreszcz przestrachu przebiegł od stóp do głów. — Czy zabili kogo w łóżku?

— No, niezupełnie zabili — wyjaśniła Marta. — Ale mogli zabić, bo złodzieje byli w sąsiednim dworze. Beal właśnie mi opowiadał, że zabrali wszystkie kosztowności lady Chittenden, a ona ciągle mdleje z rozpacz i tylko woła: „o! moje brylanty!” A lord Chittenden jest w Londynie...

— Lady Chittenden? — powtórzyła Antea. — Widzieliśmy ją. Nosi białą suknię z czerwonymi wstążkami i nie ma swoich dzieci, a nie może cierpieć cudzych.

— To ona sama! — potakiwała Marta. — Kiedy kto kocha nad wszystko pieniądze, zawsze mu tak

bywa. Powiadają, że te kosztowności były warte tysiące tysięcy funtów. Był tam naszyjnik i jakaś rywera — nie wiem co to takiego — i *dajemy* i cała kupa bransolet i pierścionków. Ale ja z wami gadam a tu trzeba uporządkować cały dom na przyjazd mamy...

(d. c. n.)

PRZEPLATANKA LITEROWA.

pomysłu Halszki Dadziobożki.

1) Chuz, 2) do, 3) chklu, 4) a, 5) do, 6) aksyz, 7) ikut, 8) go, 9) ein, 10) adorsstyz.

W każdym z podanych wyżej szeregu liter, tak je należy poprzesztawiać, aby otrzymać dziesięciowyrazowe przysłowie żartobliwe o zuchu.

SZARADA.

ul. Józef Aleksandrowicz.

Pierwsza — to spółgłoska dobrze wszystkim znana,
Druga pierwsza w boju była używana,
Nawspok trzecia pierwsza dana kucharzowi,
A całe to godność, noszą ją wojskowi.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-go.

Figla: Dla śpiącej dziewczynki staruszka była praprababką.

Szarady: Kar — me — lek.



W szkole.

Nauczyciel. Powiedz mi Gapski, ile jest rodzajów?

Uczeń. Dwa: męzki i żeński.

Nauczyciel. Jakto, dwa tylko?

Uczeń. A prawda zapomniałem, jest jeszcze rodzaj ludzki...

W ogrodzie botanicznym.

Wujek. Patrzenie chłopcy, takie same jak ta roślina, rosnące w cieplejszych krajach, dostarczają tytoniu.

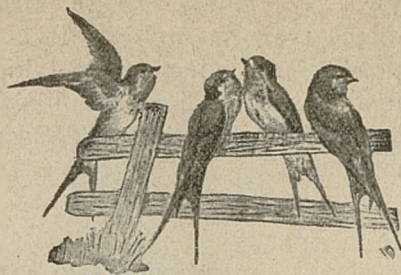
Kazio. A na jakiej roślinie rosną gilzy do papierosów

Mania gospodynią.

Maciejowa (do Mani, uczącej się gospodarstwa). Widzi panienka, jak się chce mieć długo świeże jaja, to należy je trzymać w zimnym miejscu.

Mania. Dobrze moja Maciejowo, ale w jaki sposób wytłomaczyć to kurze?

Skrzynka do listów.



Dziękuję, **Polko**, za serdeczne powitanie i za dobre życzenia na dalszą pracę w „Wieczorach”. Kocham serdecznie to nasze pismo, to też chciałabym je widzieć w każdym polskim domu, wszędzie, gdzie gromadzi się rodzina około wspólnego stołu, bezwzględnie na to, czy to stół oficje, czy skromnie zastawiony. I tyle razy myślą gonię za numerami „Wieczorów”, chciałabym towarzyszyć każdemu, śledzić na twarzyczkach czytelników wrażenie przeczytanych artykułów. Bo, wierzajcie mi, chociaż to ja czasem narzekam na nożyce redakcyjne, muszę przyznać, że wiele ta redakcja użyje mocołu, zanim obmyśli i wyda numer pisma, pragnąc, by każdy niósł wam i rozrywkę i pożytek.

Kiedy wraca Jaskółka? pyta **Jadwiśka**, ależ jest już w swem gnieździe i spieszy ci donieść, że numer pisma kosztuje 10 kop, i że z upragnieniem czeka liściku od swej kochanej Jadwiśki.

Trudniej odpowiedzieć na twoje pytanie, **Dzikusie**. „Czy ty Jaskółko dobrze się zawsze uczyłaś” pyta Dzikus; hm, pewnie, że dobrze, tylko z deklinacjami niemieckimi radzić sobie nie umiałam, te *der, die, das* psuły cenzurę. Gdyby nie one, nie wstydziłabym się was, nawet ciebie, Dzikusie, który z nagrodą przeszedłeś do piątej klasy. Ale teraz umiem cenić wartość niemieckiej literatury, czytam z zapalem Szyllera, a nawet Goetego i radzę wam szczerze przykładać się pilnie do tego języka. Donieś prędko, Dzikusie, jak się ma twój braciszek, jestem o niego bardzo niespokojna. Żal mi twego pseudonimu, był ładny, przystając jednak na zmianę.

Przyfrunęła moja **Muszka z nad Rosi** i zabrzęczała tak milutko, jak to ona umie. Tylko czemu Muszko nie donosisz, co najwięcej podobało ci się w Warszawie; ja kocham nasze miasto i chciałabym, żebyście umiali szukać w nim rzeczy godnych widzenia i przyjrzeć się pracy społecznej. Jak mało znamy np. pracę sióstr miłosierdzia, tej armii szlachetnych pracownic, które walczą z nędzą i narażają życie, wojując z tyfusem, ospą, cholera. A one i na polu bitwy umieją dać przykład mężstwa. To prawdziwe bohaterki, opatrywały z nieustraszoną odwagą biednych żołnierzy, nie zważając nawet na kule, same wynosiły rannych. Kochajmy Siostry Miłosierdzia i starajmy się je naśladować w mężstwie, wytrwałości, zapominając o nerwach i naszych wygodach dla drugich.

Redakcja oddała mi twój list, **Stello**, żałuję, że wyjeżdżasz na długo, bo to co piszesz o klasztorze bardzo mnie zajęło i chętnie zawiązałabym korespondencją z nową, a dużo obiecującą staruszką.

Czemu, kochana **Czeremcho**, nie naśladujesz rośliny, której nosisz pseudonim? Ona kwitnie i cieszy swym zapachem, a ty milczałaś w maju, milczałaś wogóle tak długo. Gdybyś więcej czasu poświęcała naszemu pismu, znalazłabyś w nim oddawna odpowiedź na twoje pytanie, no i życzliwe słowa dla siebie, które ci dopiero teraz przesłać mogę.

Brawo, **Sułtanko**, twój pegaz, o ile znam się na tem, ma rozmach, który jest dowodem, że, o ilebyś się uczyła, mogłabyś ładnie rysować, a chęć oddania talentu na usługi biednych zdradza dobroć, ten najcenniejszy przymiot, zarówno nad Bosforem, skąd pożyczylaś pseudonimu, jak i nad Wisłą, gdzie tak wiele dobroć ma do spełnienia. Szczęść Boże twoim zamiarom.

Chętnie zaliczę **Powoja** do naszego grona, ale skoro ten dobry powój chce ślać listkami gniazko Jaskółce, to musi usłuchać jej rady i starać się o poprawność języka, np. gniazdko, to gniazdko, w którym Jaskółce tak dobrze, bo je uwiliła wśród was, pisze się przez *zd* nie przez *st*.

„Lepiej coś, niż nie” powiadasz, kochana **Szarotko z Tatr**, ale przyznaj także, iż lepiej pisać wyraźnic, niż niewyraźnic: ja z trudnością przeczytałam twoją kartę. Chętnie jednak daruję ci kaligrafię za dobrą wiadomość o zdanym egzaminie i za marzenia twoje, aby w Sanatoryum mogli wszyscy ubodzy chorzy znaleźć pomieszczenie. Oby Bóg spełnić raczył to życzenie.

„Kochaj wrzeciono, bo przy wrzecionie siedziała nieraz pani [w koronie.

I lnu pasemka składała w motki, by niemi okryć biedne sierotki”

piszą **Halszka i Marylka**, które przysłały dla ubogich dzieci koszulkę z płótna, same zaś uprzedły len i zachęcają inne dziewczynki do wrzeciona. O drogie moje, szkoda, że ta zachęta nie sięgnie tam, gdzie najbardziej jest potrzebna, do chat wieśniaczych. Gdyby znalazła się naprzykład dobra prządka w którym z Sandomierskich lub innych dworów i nauczyła tamtejszy lud wyrabiać płótno lub wełniaki. Na całej przestrzeni od Sandomierza do Ostrowca wieśniaczki próżnują w zimie, bo nie ma komu zachęcić je do tkania samodziałów. Więc tem serdeczniej wyciągam łapkę do moich przątek kochanych, które dobry dają z siebie przykład.

Spełniam twoje życzenie **Czterolistna konieczyno**, co zaś do szlachetnych postanowień, o których wspominasz w liście, to z całej duszy życzę ich spełnienia. Szkoda, że tak rzadko i niewyraźnie piszesz, chciałabym dopomóc ci w pracy udoskonalającej duszę, bo słusznie powiedział autor *Naśladowania*: „Czyjaż mężniejsza walka, jak tego, który usiłuje zwyciężyć sam siebie”. Bądź mężna i wierzaj, że poprawa twoja jest mi droga.

Wyciągam do ciebie łapki i dziobek, **Niebieska Perełko**, a już najchętniej rozwinęłabym skrzydełka, żeby co prędzej uściskać pisklę, które tak dobrze zrozumiało moje rady. Poważne czytanie uszlachetni ci duszę, **Perełko**, a list, który dzięki twym lekcjom mogła biedna dziewczyna napisać do brata w Laojanie, to też radość dopiero, to pociecha prawdziwa dla Jaskółki, dzięki za nią **Perełko** kochana.

Noś mnie i dalej w sercu, **Wielkopolanko**; zasługuję na to, bo nie zapomniałam cię wcale, tylko żałuję, że tak rzadko pisywać możesz. Pojmuję twoją radość z powrotu do kraju. Oby **Stowik** przygrywał nam kiedyś tak pięknie, jak Paderewski, życzę twemu bratu powodzenia w muzyce, tem bardziej życzę, że nie zaniedbuje innych nauk, bo wykształcenie uszlachetnia artystę i daje wyższy polot jego duszy.

L. J. może przysłać marki nie rachowane.

Gospośi redakcja dziękuje za życzenia.

Nie zazdrość innym korespondentom Jaskółki, **Stasiu K.** bo nie braknie mi dla ciebie ani czasu, ani ochoty do pisania. Szanowni twoi rodzice czynią bardzo słusznie, zatrzymując cię w domu; oby kochane nasze pismo przynosiło ci rozrywkę i przyjemność, skoro je cenić umiesz. Twoją zagadkę oddałam redakcyi, jest dowcipna, tylko nie ścisła w układzie, bo przecież ptak jest także zwierzęciem, prawda Stasieczko.

List twój, **Lillo Wenedo**, czytałam z największym zainteresowaniem i z prawdziwym współczuciem. Niech Bóg czuwa nad tobą, dzielna pracownico, niech cię ustrzeże swą opieką od fałszywego kroku na drodze życia, po której od tak dawna stąpasz samotna. Czyż potrzebuję ci mówić, że los twój bardzo mnie obchodzi, że z niepokojem czekam na dalsze listy, których nie skąp niespokojnej o ciebie

Jaskółce.